

MARCIN GRZELAK



LIRA
WYDAWNICTWO

Nie ma
wybaczenia.
I nie ma
jutra...

CUKIER DUSZY

**CUKIER
DUS^{NA}ZY**

MARCIN GRZELAK

**CUKIER
DUS^{NA}ZY**

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67388-98-6

— *Czym jest samotność?*
— (...) *To dom bez ścian, same okna,
i wszystkie otwarte na oścież.*

Edward Stachura, „Fabula rasa”

PROLOG

WRZESIEŃ 1997 ROKU

Mówili, że wyszedł z domu jak zwykle, a potem poszedł do jeziora. Szedł prosto, nie zatrzymywał się i niósł ten swój dziennik pod pachą. Otworzył furtkę, chwilę kuśtykał jeszcze przez nadbrzeżne trawy, aż w końcu zniknął.

Mówili też, że trzciny się przed nim otworzyły, że odsunęły się i ukłoniły, że woda się rozstała jak przed Mojżeszem. A Dżony szedł i się uśmiechał. Zaciągnął się parę razy papierosem, nawet nie spojrział za siebie, aż w końcu usiadł na dnie i otworzył dziennik. Zerknął na słońce, poślinił palec, przerzucił niedbale kolejną stronę, założył nogę na nogę i zaczął czytać. Wtedy jezioro się nad nim zamknęło.

Po czasie mówili o tym jeszcze różnie, lecz w czasie śledztwa ustalono tylko tyle, że jeszcze rano widziano Dżonego na Słodkim Rogu, jak stoi, skrzywiony lekko w prawą stronę, z otwartą gębą, z kropelką śliny płynącą wolno w kierunku brody. Trochę zdziwiony, bo przecież zawsze wyglądał na zdziwionego... A potem wyszedł z domu, poszedł do wody i się utopił. I tylko tyle. Innej historii o Dżonym nigdy nie było.

Kiedy się okazało, że chłopak zniknął, wszczęto alarm. Ktoś niby go widział, ktoś dzwonił po nurków, ktoś tropił ślady na błotnistym brzegu. Nawet strażacy szukali Dżonego do samego zmroku, lecz efekt był żaden. Jakby chłopak się ukrył, jakby się bawił z nimi w chowanego. Jakby naprawdę siedział na dnie i sobie czytał.

— Dżony gdzieś przepadł, słyszałeś o tym?

— No, już słyszałem. Znaleźli go?

— Nie, ciągle jeszcze go nie znaleźli. Może nie żyje?

— Tak... Nie... No w sumie nie wiem. Chyba nie żyje, wiesz? A może go jeszcze jednak znajdują?

Znaleźli go dopiero nazajutrz, z rana, gdy woda po nocy na brzeg wyrzuciła ciało pod sam dom, prosto pod furkę z ogrodu. Mówili, że sobie zamówił pośmiertną dostawę pod drzwi, że to zaplanował. I czekał na nich bez cienia pretensji, skryty za tymi trzcinami, aż ktoś nadejdzie, znajdzie go i wtedy zawoła: „Tutaj jest Dżony! Chodźcie. Tutaj leży!”

Dzień był z pewnością tego dnia zwyczajny, gdyż innych niż te zwyczajne nigdy w Lubiewie nie było. Kolejny, którego się nie zapamięta, bo jest jednorazowy, zużyty i nieprzydatny. Kolejny dzień do wyrzucenia. Jak prześwietlona klisza.

Jedni byli w pracy, lecz tylko wybrani, ci co robotę mieli. Inni zaś byli w domu albo na działce, a może z winem na ławce, pod osiedlowym sklepem, ale gdziekolwiek byli, to tam wypatrywali, aż przyjdzie „nowe”. Aż kapitalizm przyjdzie, ukłoni się, grzecznie przedstawi i powie: „Książę, robota jest, wstawać trzeba”. Każdy był tam, gdzie być powinien, gdzie mu historia wyznaczyła rolę. Tylko Dżonego nie było na Słodkim Rogu i ludzie zaczęli mówić, że to niemożliwe, że przecież zawsze tam był... Jakby papieża zabili, a nawet gorzej. Był Dżony i chłopca nie ma. Coś się musiało stać, pewnie coś złego. Słysząc było: „Jak? Gdzie? Ale dlaczego?”. „No co ty mówisz? Kto mu w ogóle na to pozwolił?”. „No kto ci pozwolił, do diabła, teraz umierać, Dżony?”. „Ten dzień to się na długo zapamięta”.

W Lubiewie niewiele było do pamiętania. Bo mogłeś pamiętać na przykład komunę (niektórym ciągle się za nią cknęło). I mogłeś pamiętać dni miasta, kiedy był festyn, kielbasa za darmo i nawet piwo albo to, że kiedyś w kinie grali różne filmy, a teraz nic w kinie nie ma, jest tylko remont.

Albo ten mecz, który Iskra Lubiewo grała w pucharach z kimś tam, dawno, kiedyś. I prawie wygrała. A może nie? Nikt nie pamięta. Ale pobili się. Bili się na tym meczu, to już na pewno. Sztachety poszły

w ruch w pierwszej połowie, choć nikt dziś nie powie, czy był spalony, czy go nie było.

Albo przetwórną, że była większa, bogatsza, że ludzie mieli robotę przy tym pomidorze. I to tysiące ludzi, a nie tak jak teraz: garstka. Bo ledwie w garści zmieścisz te kilka osób.

Albo jak proboszcz kiedyś się napił. Pewnie nie raz się napił, lecz właśnie wtedy, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, pił ze szczęścia, zaraz po tym pamiętnym dla losów kraju *Dzienniku*. I poszedł w miasto w samych gaciach, szczelnie owinięty w polską flagę, a na tej fladze miał wymalowany na czerwono napis: „Solidarność”. Rozłożył palce w literę V, tak jak to trzeba, uniósł wysoko w górę dłoń i głośno krzychał:

— Teraz my, kurwa! Zobaczycie!

Wiele było tych zdarzeń wartych zapamiętania, lecz od tej pory przybyło jedno: w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku, jakoś w połowie września, Dżonego nie było na Słodkim Rogu, lecz leżał pod płótem, szczelnie zamknięty w foliowym worku.

Mówili, że wtedy po raz pierwszy nie miał pod pachą swojego dziennika.

Wilkowo było oswojone. Wokół Lubiewa znajdowało się, co prawda, kilka jezior, a wszystkie zgrabnie wciśnięły się w krajobraz miasta, to jednak było spośród nich najbardziej swoje, z szeregiem jednorodzinnych domów wybudowanych na pagórkowatym brzegu. Schowało się przed tubylcami w niecce. Przy jednym brzegu wiła się ruchliwa szosa, którą co zaradniejsi zbiegli już do Gorzowa. Przy drugim uformował się spory nasyp, niegdyś kopalnia piachu, dzisiaj niczyja górka, dekorowana z rozmachem dzikim krzewem. Dalej zaś wyrastały osiedla — rozliczne domy, ściśnięte mocno, zduszone szczelnie trwałym płotem. Żeby wytrwały, żeby się tylko nigdzie nie rozeszły.

Wzgórze, od wieży ciśnień kładące się delikatnie na brzegach jeziora, gęsto pokryte było budynkami: starymi, wciąż jeszcze pachnącymi tym ostatnim Niemcem, z ogrodami pełnymi zgrabnych jabłoni, dostojnie biegnącymi prosto w kierunku wody, na dole chronionymi solidnym płotem, zaraz przy linii trzcin, przy pomoście. Albo nowymi — polskimi, co się je budowało wtedy pomimo wszechobecnej biedy i mówiło, że to jest willa, a nie jakiś tam zwykły dom, proszę ciebie, bo w domach mieszkali przecież biedni ludzie.

Kaśka Mączyńska stała nad wodą, przy rdzewiejącej furtce, w zdeptanej razem z dowodami trzcinnie. U jej stóp leżał Dżony. Zamknęła zamek błyskawiczny worka, żeby jej błyskawicznie zniknął z oczu ten nieprzyjemny widok, bo chłopak miał przerażającą twarz, może zdziwioną, jakby myślącą nad czymś, czego nie rozumiał, z pryszczami podeszłymi brudną wodą. Brzydził ją zawsze, nawet z daleka, gdy go mijiała na Słodkim Rogu, więc tym bardziej brzydził teraz, kiedy się gapił na nią bez skrępowania z worka.

Obok zebrał się tłumek, grupka złąknionych gapiów z pobliskich domów. Dziewczyna wiedziała, że powinna ich przegnać w cholerę z tego smutnego miejsca, bo rolą policjanta jest przecież, by ludzi gonić, lecz była sama, a przy tym nie miała nawet kawałka taśmy, niczego, żeby odgrodzić to miejsce prawdopodobnej zbrodni. Żeby waliło po oczach, że tu policja stoi, proszę się rozejść, tu nie ma w ogóle na co patrzeć. I to nie tak, że zapomniała, nie wzięła tej taśmy czy innych akcesoriów; po prostu ich nie było w magazynie. Niczego nie było wówczas w magazynach policyjnych poza bronią, też raczej starą, z komuny jeszcze, więc zwykłym P-64.

Polonez odpalił, co było już pierwszym sukcesem tego śledztwa. Tak oto policjantka znalazła się na miejscu zdarzenia, bez metra taśmy, za to z workiem,

w który wbrew procedurom sama wpełchnęła ciało Dżonego, i z wysłużoną bronią. Strach myśleć, kto i do kogo z niej strzelał.

I stała, czekając, aż w końcu przyjedzie wsparcie, choćby jakiś lekarz.

Jezioro było spokojne, wiatr nie wiał, trzciny stały na baczność, a kaczki leniwie żuły wodną rzęsę. Niebo bez cienia chmury, trochę niebieskie, lecz głównie blade, jak sufit w szpitalnym laboratorium. Słońce paliło, dziewczyna spociała się pod polarem. Odganiała robactwo, które pchało się w zakamarki ciała. W oddali słyszała sygnał karetki.

No kurwa mać, jadą nareszcie...

*

Żwirową dróżką, wijącą się żwawo od wieży ciśnień, schodziła grupka ludzi. Zajęło im kilka minut, by dotrzeć na miejsce tą właśnie drogą, na siłę bowiem chcieli się dostać autem nad samą wodę. Jak te strażackie wozy przed laty... znów nieskutecznie. Kaśka wysłała po nich jedno z ciekawskich dzieci, które konieczne chciało się przydać w prowadzeniu śledztwa.

Szli posłusznie, gęsiego, noga za nogą: Górnic-ki — technik z Komendy Wojewódzkiej w Gorzowie,

dwóch byczków z noszami, czyli lokalni sanitariusze, Kazek Cieślak — szef Kaśki, z dochodzeniówki w Lubiewie, były milicjant i komuch, choć dobry człowiek, na rok niespełna przed emeryturą, i na końcu ksiądz.

„No kurwa, ksiądz” — chciała powiedzieć Kaśka, ale ugryzła się w język w ostatniej chwili. Słusznie się gryzła, bo takie słowa mogły być niebezpieczne. W latach dziewięćdziesiątych trzeba było się pilnować przed księdzem, jak niegdyś przed partyjnymi.

— A prokurator? — spytała.

— Po co ci prokurator? Ksiądz przyszedł — wymruczał Cieślak, nie patrząc na nią.

Dziewczyna parsknęła.

— Kaśka, to on? — Kazek rozpinał zmechaconą bluzę.

— Taaa... — odparła, stając obok niego.

— Czyli kto? — Ksiądz dyszał, szarpał się z białą koloratką, która cisnęła mu gardło.

— No kto... Dżony przecież.

— Kto to? — Górnicki, technik, nie był z Lubiewa, w Gorzowie zaś Dżonego nie znali.

— Legenda — powiedział Kazek. — Honorowy obywatel miasta.

Górnicki odsunął zamek foliowego worka, a Kaśka odeszła na bok, w stronę gapiów. Musiała odgonić

ten tłumek, bo ludzie zaczęli wyciągać coraz mocniej szyje, wpatrywać się, szukać sensacji, jakby za chwilę Dżony miał wyskoczyć z worka, krzycząc „a kuku!”, i sobie uciec.

— Co mu się... Kazek?

— Ech, Dżonuś... Coś ty narobił, chłopaku — mruknął stary policjant.

— Ja pierdołę, co on taki pokrzywiony? Ile on tu leżał? — Technik rozchylił folię i pochylił się nad ciałem.

— Od wczoraj. A pokrzywiony jak zawsze — zaczął Kazek. — Zawsze tak wyglądał, chociaż ja wiem? No rzeczywiście, chyba bardziej jakoś tak... Ech, Dżonuś... — powtórzył i kucnął przy worku. Przyglądał się i kręcił głową, a niebieska koszulka trzeszczała na wielkim brzuchu. — Coś ty narobił? Po co to było robić? — mówił cicho do trupa.

— Ale co on... on jakiś nie teges był? Co to z nim, Kaziu? — dopytywał technik.

— Taki tam, świr lokalny — rzucił jeden z pielęgniarzy i pożałował od razu tych słów.

— Mordę zamknij! Sam jesteś świr, kurwa! — warknął Cieślak. Miał lata doświadczeń w takim warczeniu. Nawet przecinka nie było gdzie w tę wypowiedź wcisnąć. Westchnął. Wstał i zerknął przepaszająco na noszowego. — Kiedyś to było

normalne dziecko... Kurde, jak to zleciało... W sumie to jeszcze niedawno przecież... Jeszcze w osiemdziesiątym siódmym...

*

Historia tej rodziny była znana lepiej niż data wyzwolenia miasta. Jeśli da się wyzwolić coś, co nigdy nie było twoje... No w każdym razie to byli wyjątkowi ludzie.

On był malarzem, wziętym i wykształconym, po Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Malował pejzaże, a swoje obrazy sprzedawał głównie do zachodnich Niemiec, chociaż czasem robił też coś na lokalne zamówienie. Ona była księgową w przetwórnicy, przykładną matką i piękną kobietą. Inteligentną. Taką, o której się myśli wieczorami. Taką do tańca i do różańca, do wzorcowego prowadzenia domu. Do łóżka i do dyskusji o współczesnym świecie. Chłopiec zaś to było normalne dziecko — wesołe, żywe, ciekawskie, raczej zwyczajne, może będące trochę z boku.

W życiu nie brakowało im niczego, za marki dało się wtedy kupić wszystko. On ciągle malował, a że był w tym malowaniu bardzo płodny, to tworzył dzień w dzień nieustannie obrazy, jeden za drugim, do tego całkiem ładne, choć wszystkie podobne do siebie,

jakby schodziły z taśmy. Udane kopie świata na zamówienie: jezioro, las, wieża, stary kościółek, rynek, ruiny zamku, park, rzeka. To, co zostało po Niemcach, co się udało ludziom ocalić od zniszczenia, czego komuna zniszczyć nie zdołała. Niemcy zaś kupowali jego obrazki jak leki na pamięć, dzieciństwo na wynos, wspomnienia na kilogramy, zamknięte na płótnie w niewielki obraz. Marki sypały się strumieniami, a pod tym strumieniem wyrósł im w końcu dom — chluba Wilkowa, dzieło sukcesu jego i efekt bankructwa poprzednich mieszkańców. Dwa piętra, poddasze, ogród, ogromne okna, pokoje jak w małym hotelu. Z czasem jakoś je wszystkie zasiedlili, z początku żartując jednak, że nawet ich nie otwierają i nie wiedzą, kto w tych pokojach mieszka. Stare jabłonie, czereśnie, brzozy, równiutka trawa, a w środku jednorodzinne królestwo. Ogród chroniony przez płot z ręcznie kutego żelaza, z leciwą bramką, nieprzystającą do dostojności ogrodu, przez którą szło się prosto nad brzeg jeziora. Bramki nie wymieniono do dzisiaj. Z płotu zostało już niewiele.

Żyli, jak chcieli — dla jednych odważnie, dla drugich na pokaz, lecz faktem było, że drzwi mieli otwarte, a dom ciągle tętnił życiem. Znajomych i nieznajomych, znajomych znajomych schodziło

się z dnia na dzień co raz więcej. Bo a to wódeczka, a to jakiś koniaczek, o sztuce mówić, o literaturze, to trochę o świecie, a trochę o niczym, a potem rozpalic ognisko, kiełbasę piec, patrzeć na wodę, na koniec pożegnać się i wracać do siebie, żeby w spokoju za-
zdroszcic i ich nienawidzić. Zamknąć się w swoim M4 i się wstydzić...

W pamiętnym roku osiemdziesiątym siódmym przybył im nowy lokator. To nie było tak, że ona się wcześniej nosiła z brzuchem, że urodziła, bo przecieź nie chcieli mieć już więcej dzieci. Chcieli brać życie za rogi i je ujeżdżać, a z dzieckiem daleko nie ujedziesz. Dobrze im było, jak było. Nic więcej nie chcieli.

Rzecz jednak w tym, że wtedy zjawił się jego daleki kuzyn. Wyskoczył po latach, ot tak, jakoś znienacka zadzwonił. Poprosił, powiedział, w czym sprawa, więc zaprosili go i miał u nich przez chwilę pomieszkać. Miał zostać na trochę, został na zbyt długo. Pochodził z Olsztyna, a tutaj przysłano go prosto z uczelni. Był zootechnikiem, przy tym podobno całkiem dobrym, w pegieerze zaś w Borowie zootechnika, a przy tym dobrego, bardzo potrzebowano. Ten kuzyn, bardzo młody, wciąż na dorobku, a przy tym samotny, grzeczny, poukładany, do rany przyłoż — w zasadzie był z niego człowiek — zatrzymał

się u nich z marszu po przyjeździe. Z tą myślą, że rozejrzy się w mieście i pójdzie czym prędzej na swoje.

Był młodszy od niego i od niej, choć przecież ona była młodsza od niego o lat równe dziesięć. Nie bacząc jednak na te matematyczne trudności, niezaprzeczalnie kuzyn był cholernie przystojny i kobiety ścisnęły boleśnie nogi, gdy tylko przechodził obok, lecz na nim to nie robiło wrażenia. W głowie mu nie powstało tam zaglądać, rozchylić te nogi chociaż na centymetr — wciąż tylko siedział w książkach. Siedział sam z sobą, w sobie sam siedział i nieustannie czytał. Mówili, że kuzyn woli chłopców niż kobiety.

Żyli więc odtąd wspólnie: on, ona, kuzyn oraz zwyczajny chłopiec. I wszystko by pewnie było nadal dobrze, i Dżony może by nie został nigdy Dżonym, gdyby nie pożar, co w tamtym wrześniu, w osiemdziesiątym siódmym roku, zniecka wybuchł u nich w domu.

Nim straż dojechała na miejsce — a trudno tam było dojechać czymkolwiek, ponieważ w dół biegła tylko jedna żwirowa droga, a tak wąska, jakby się zacisnęła ze strachu na widok wielkiego ognia — to dom się już całkiem zajął. Poddasza nie było, dach spadał płatami, jak skóra z węża odchodził, jak z pleców trędownatego, więc się natychmiast zabrali za szukanie ludzi.

On wybiegł z domu głównymi drzwiami, ciągnąc za sobą ogon dymu. Na rękach niósł chłopca, ten zaś był nieprzytomny, miał osmaloną twarz, na oczach węgiel, a oczy zamknięte. Strzępy ubrania wisiały na wychudzonym ciele, lecz ciągle oddychał, kiedy on z nim podbiegł do lekarzy.

— Ratujcie go! — krzyczał. — Dziecko ratujcie, chłopca mojego...

Straży powiedział jeszcze, że ona z kuzynem spłonęła, że nie ma szans ich uratować, że im już w żaden sposób nie pomogą. Że ich razem widział przed chwilą na górze, lecz nie mógł nic zrobić, bo niósł dziecko, ratował syna i dusił się. „Tam się nie dało, panie, w ogóle oddychać”. No ledwie uciekł, a ona spaliła się i już jej nie ma.

— Dziecko ratujcie, mojego chłopca! Ratujcie mi syna!

Wrzucili węże do jeziora, puścili w ruch potężne pompy. Zaczęli gasić, lecz ogień był ponoć tak ogromny, że parzył ciemniejące chmury. Ludzie opowiadali nazajutrz pod sklepem, że było go widać nawet z Gorzowa. Mówili, że wielki był tak, że wody brakło w jeziorze, by go ugasić. Że wyszło im w trakcie tego gaszenia całe Wilkowo, lecz zaczęła padać deszcz, bo w końcu pękły nad nimi te poparzone chmury, więc mieli szczęście i pół domu

udało im się uratować. A może mniej, bo tylko parter? Sam parter tylko? No to, co tam teraz w każdym razie stoi.

Chłopiec się ocknął, zerwał z noszy i choć się słał na nogach, to rzucał wokół dzikim wzrokiem. Nie dał się nikomu dotknąć. Lekarze chcieli dać mu zastrzyk, a potem tlen, kłaść go z powrotem na nosze, ratować go przed czymś nieuchronnym, ale odepchnął ich tylko i spojrzął na ojca. Stał tak przez chwilę, wyduł sparzone usta, wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć... Pewnie do niego, lecz nie powiedział niczego, składał tylko wargi jak niemo-wa. A potem się skrzywił, pochylił w prawo i tak już został. I zaczął milczeć. Nikt nie znał jego ostatniego słowa.

Mówili, że to był szok. Lekarze tak mówili, bo ludzie wiedzieli przecież swoje. W mieście powtarzano, że chłopak zwyczajnie zwariował, że z tego nie wyjdzie. Że mu się od tego dymu i od widoku płonącej jak pochodnia matki, co ponoć biegła za nim po domu, że mu się poprzestawiało w głowie i ma tam bałagan, straszliwy chaos. Że nikt już tych klocków nie ułoży.

Chłopiec umościł się w sobie na dobre. Mieszkał we wnętrzu siebie jak w wymyślonym domu. Na pocieszenie dostał niewielką rentę za zmarnowaną

głowę i żył samotnie z ojcem, całkiem już na wszystko obojętnym, w parterowym cmentarzu, z farbami, sztalugą i butelkami.

On zaczął pić, gdy tylko pochował żonę. I pił na serio, gdyż nie zwykł robić niczego na pół gwizdka. Pił z pasją, tak na poważnie. Kończył się on, powstawał inny człowiek. Nie mówił wiele, nie robił nic, nie dbał o dziecko. Karmili ich obu sąsiedzi. Trwało to tygodniami, aż w końcu opieka społeczna, w postaci na wskroś starej panny w kolorze wiecznej szarości, odpowiadając na anonimowe wezwanie, stanęła w drzwiach, mocując się z wszechobecnym smrodem. Przeszedłszy próg, kobieta chwyciła się za ondulowaną głowę, gdy zobaczyła, jak mieszka on, gdzie leży dziecko, że chude jest, całe w pryszczach, że upośledzone... I chciała to dziecko zabrać do zakładu, zamknąć z dala od niego, z humanitarnych pobudek. I prawie zabrała, lecz wtedy przyszedł do niego Kazek Cieślak, który znał drogę, bo często bywał w tym domu, jeszcze gdy ona żyła. Przyszedł i dał mu w mordę. Z liścia dał, konkretnie, mocno, tak na otrzeźwienie.

— Weź wstawaj, dziadu, bo ci dziecko zabiorą! Zrób to, człowieku, dla niej, jeśli już nie potrafisz dla siebie.

I wtedy on się dopiero pozbierał.